

KTOŚ PATRZY Z UKRYCIA

TESS GERRITSEN

Dolina umarłych



Rozdział pierwszy

RÓWNINA ANIOŁÓW, IDAHO

Została wybrana.

Przyglądał się uważnie tej dziewczynie od chwili, gdy przyjechała z rodziną do osady. Jej ojciec, George Sheldon, kiepski stolarz, pracował razem z ekipą budowlaną. Matka, nijaka kobiecina o przeciętnej twarzy, została przydzielona do pomocy w piekarni, którą tu mieli. Oboje byli bezrobotni i zdesperowani, gdy przypadkiem trafili do jego kościoła w Idaho Falls, szukali pociechy i zbawienia. Jeremiaś spojrział im wtedy w oczy i zobaczył to, co chciał widzieć: zagubione dusze w pogoni za kotwicą, jakąkolwiek kotwicą.

Dojrżeli do żniw.

Teraz Sheldonowie i ich córka Katie mieszkali w chacie C w nowo powstałym Zgromadzeniu Kalwaryjskim. W każdy sabat siadali w wyznaczonej ławce w czternastym rzędzie. Na podwórzu przed domem posadzili malwy i słoneczniki, takie same wesołe kwiatki, jakie rosły w ogródkach przed pozostałymi domami. Na wiele sposobów wtapiali się w sześćdziesiąt cztery

rodziny tworzące Zgromadzenie, pracujące razem, modlące się razem i łamiące chlebem w wieczór każdego sabatu.

Pod jednym wszakże szczególnym względem Sheldonowie różnili się od innych: mieli wyjątkowo piękną córkę. Córkę, od której nie potrafił oderwać oczu.

Jeremiah obserwował ją przez okno, gdy stała na szkolnym boisku. Był środek przerwy, uczniowie hasali na dworze w ciepły wrześnieowy dzień, chłopcy w białych koszulach i czarnych spodniach, dziewczynki w długich pastelowych sukienkach. Wyglądali na zdrowych i opalonych, czyli tak, jak powinny wyglądać wszystkie dzieci. Nawet pośród przypominających łąbędzie dziewcząt Katie Sheldon wyróżniała się niesfornymi lokami i dźwięcznym, głośnym śmiechem. Jakże szybko dziewczęta się zmieniają, pomyślał. Wystarczył rok, by z dziecka przemieniła się w smukłą młodą kobietę. Jej lśniące oczy, połyskujące włosy i zaróżowione policzki to oznaki płodności.

Przystanęła z dwoma innymi dziewczętami w cieniu dębu. Wszystkie pochylały głowy niczym trzy gracje szepczące sobie sekrety. Wokół nich boisko szkolne kipiało energią, uczniowie pokrzykiwali, grali w klasy i kopali piłkę.

Nagle spostrzegł chłopaka idącego w kierunku trzech dziewczyn i zmarszczył czoło. Chłopiec miał około piętnastu lat, strzechę jasnych włosów i długie nogi w za krótkich już spodniach. W połowie dziedzińca przystanął, jakby zbierał się na odwagę, by iść dalej. A potem podniósł głowę i ruszył prosto do dziewcząt. Do Katie.

Jeremiah przybliżył się do okna.

Gdy chłopak podchodził, Katie spojrzała na niego i się uśmiechnęła. Był to słodki niewinny uśmiech posłany koledze z klasy, ale ten kolega z klasy prawie na pewno miał jedno

w głowie. O tak, Jeremiaś mógł się domyślać, co zaprzętało myśli tego młodzieńca. Grzech. Brudy. Katie i chłopak o czymś rozmawiali, podczas gdy pozostałe dwie dziewczynki cicho się oddaliły. Rozmowę zagłuszał harmider panujący na szkolnym dziedzińcu, ale Jeremiaś spostrzegł, że Katie w skupieniu odchyliła do tyłu głowę i kokieteryjnie strzepnęła włosy z ramienia. Widział, że chłopak się pochyla, jakby ją wąchał i delectował się jej zapachem. Czy to nie bachor McKinnonów? Adam, Alan czy jakoś tak. W osadzie mieszka teraz tyle rodzin i tak dużo dzieci, że nie mógł spamiętać wszystkich imion. Wpatrywał się w nich z góry, zaciskając palce na ramie okna tak mocno, że paznokcie wbijały się w farbę.

Obrócił się na pięcie, wyszedł z pokoju i głośno tupiąc, zbiegł po schodach. Z każdym krokiem jego szczęka zaciskała się coraz mocniej, a kwas wypalał dziurę w żołądku. Wypadł jak burza z budynku, ale zatrzymał się gwałtownie przy bramie dziedzińca szkoły i próbował odzyskać panowanie nad sobą.

To nie załatwi sprawy. Okazywanie gniewu jest czymś nie do pomyślenia.

Rozległ się dzwonek szkolny ogłaszający koniec przerwy. Jeremiaś stał, starał się opanować i głęboko oddychał. Skupił się na woni świeżo skoszonego siana i rozchodzącym się z pobliskiej kuchni Zgromadzenia zapachu świeżego chleba. Z drugiej strony dziedzińca, gdzie budowano nowe oratorium, dochodziły pojękiwania piły i stukot kilkunastu młotków wbijających gwoździe. Zaczne odgłosy uczciwej pracy, wspólnego wysiłku społeczności ku chwale Pana. A ja jestem ich pasterzem, pomyślał, ja ich prowadzę. Wystarczy tylko popatrzeć, jak daleko zaszli! Jeden rzut oka na rozbudowujące się osiedle, na dwanaście domów w budowie, i jest jasne, że Zgromadzenie kwitnie.

W końcu otworzył bramę i wszedł na dziedziniec. Minął salę pierwszoklasistów śpiewających piosenkę o alfabecie i wszedł do klasy, w której uczyły się dzieci w wieku gimnazjalnym.

Nauczycielka zobaczyła go i zaskoczona zerwała się na równe nogi zza biurka.

— Prorok Goode, za co zaszczyt! — wysapała. — Nie wiedziałam, że nas dzisiaj odwiedzisz.

Uśmiechnął się, a kobieta poczerwieniała uszczęśliwiona uwagą, jaką jej poświęcił.

— Siostró Janet, nie ma powodu, by robić zamieszanie w związku z moją osobą. Chciałem po prostu zająć tu i przywitać się z twoją klasą. A także przekonać się, czy wszyscy są zadowoleni z nowego roku szkolnego.

Jaśniejąc, nauczycielka zwróciła się do uczniów:

— Czy to nie zaszczyt, że sam prorok Goode nas odwiedza? Proszę, przywitajmy go wszyscy!

— Dzień dobry, proroku Goode! — odpowiedzieli uczniowie jednym głosem.

— Czy rok szkolny dobrze się zaczął dla was wszystkich? — zapytał.

— Tak, proroku Goode — znów odpowiedzieli unisono. Zabrzmiało to tak doskonale, jakby wcześniej mieli próby.

Katie Sheldon, co zauważył, siedziała w trzecim rzędzie. Zauważył też, że blondas, który z nią flirtował, zajmował ławkę niemal dokładnie za nią. Jeremia powoli chodził po klasie, kiwał głową i uśmiechał się, gdy patrzył na przypięte do ścian rysunki i wypracowania uczniów. Jakby naprawdę go interesowały. Jednak jego uwaga była skupiona wyłącznie na Katie, która siedziała skromnie w ławce, ze spuszczoneym wzrokiem, jak przystało na dobrze wychowaną dziewczynę.

— Nie chcę przerywać lekcji — powiedział. — Proszę, kontynuujcie zajęcia. Udawajmy, że mnie tu nie ma.

— Hm, tak. — Nauczycielka odchrząknęła. — Otwórzcie, proszę, ćwiczenia do matematyki na stronie drugiej... nie, trzeciej. Zróbcie zadania od dziesiątego do siedemnastego. Kiedy skończycie, omówimy prawidłowe rozwiązania.

Gdy ołówki skrobały, a kartki szeleściły, Jeremiaś snuł się po klasie. Uczniowie byli zbyt onieśmieleni, by na niego patrzeć, dlatego nie odrywali oczu od blatów ławek. Zajmowali się algebrą, czymś, czego tak naprawdę Jeremiaś nigdy się nie nauczył. Stał przy ławce blondyna, który wyraźnie okazywał zainteresowanie Katie, zerknął mu przez ramię i przeczytał jego nazwisko napisane na zeszycie. Adam McKinnon. Rozrabiaka, z którym w końcu będzie musiał się rozprawić.

Przeszedł do ławki Katie, zatrzymał się i teraz patrzył ponad jej ramieniem. Nerwowo wpisała odpowiedź, a potem wytarła ją gumką. Jej włosy rozdzieliły się, odsłaniając kawałek karku. Skórę miała bardzo zaczerwienioną, jakby jego wzrok ją parzył.

Pochylając się niżej, wciągnął jej zapach. Ciepło zalało mu łędźwie. Nie ma większego delikatesu niż zapach ciała młodej dziewczyny, a tej akurat jest najśłodzy ze wszystkich. Przez tkaninę sukienki widział zarys krągłości jej rosnących od niedawna piersi.

— Nie przejmuj się tym za bardzo, moja droga — wyszeptał — sam też nigdy nie byłem zbyt dobry z algebry.

Podniosła wzrok, a uśmiech, który mu posłała, był tak czarujący, że go zatkało. Tak. Ta dziewczyna jest definitywnie tą, o którą chodzi.

Kwiaty i wstążki dekorowały ławki i zwisały kaskadami z belek nowo wybudowanego oratorium. Bukietów było tyle, że pomieszczenie wyglądało jak rajski ogród, wonny i skrzący się kolorami. Gdy światło poranka wpadało przez okrągłe okna, dwieście radosnych głosów śpiewało nabożne hymny.

Należymy do Ciebie, o Panie. Dostatnia jest Twa trzoda i obfite Twe żniwa.

Gdy nagle organy zagrały fanfarę, głosy ucichły. Członkowie Zgromadzenia odwrócili głowy i patrzyli na Katie Sheldon, która stała nieruchomo w wejściu i mrugała, skępowana tym, że przyciągnęła uwagę wszystkich obecnych. Ubrana była w białą sukienkę ozdobioną koronką, uszytą przez matkę. Spod jej rąbka wystawały zupełnie nowe, białe, satynowe pantofle. Na głowie miała dziewiczy wianek z białych róż. Organy grały, Zgromadzenie czekało cierpliwie, ale Katie nie mogła się ruszyć. Nie chciała się ruszyć.

Dopiero ojciec zmusił ją do zrobienia pierwszego kroku. Wziął ją pod rękę, wbił palce w jej ciało, jednoznacznie dając do zrozumienia, że ma być posłuszna. Nie narób mi wstydu.

Zaczęła iść. Stopy w ślicznych satynowych pantofelkach miała zdrętwiałe, gdy przesuwiała się w stronę majaczącego przed nią ołtarza. Szła ku mężczyźnie, którego sam Bóg wybrał jej na męża.

Kątem oka widziała znajome twarze w ławkach: nauczycieli, przyjaciółek, sąsiadów. Była tam siostra Diane, pracująca w piekarni z jej matką, i brat Reymond zajmujący się krowami, których miękkie boki lubiła poklepywać. Spostrzegła również matkę stojącą w pierwszej ławce, gdzie nigdy wcześniej jej nie widziała. To miejsce honorowe, rząd, w którym mogli siadać jedynie najbardziej uprzywilejowani członkowie Zgromadzenia.

Matka wyglądała na dumną, och, jak bardzo dumną, stała niczym królowa w koronie z róż.

— Mamusiu — wyszeptwała Katie. — Mamusiu.

Ale zebrani rozpoczęli następny hymn i nikt jej nie usłyszał. Zagłuszyli ją.

Przy ołtarzu ojciec wreszcie puścił jej ramię.

— Bądź grzeczna — wymamrotał i odszedł, by dołączyć do matki. Katie odwróciła się, chcąc podążyć za nim, ale droga ucieczki została odcięta.

Przed nią stał prorok Jeremiah Goode. Wziął ją za rękę.

Jakże gorące wydawały się jego palce na jej chłodnej skórze. I jak wielka była jego ręka ściskająca jej dłoń. Można było pomyśleć, że wpadła w pułapkę olbrzyma.

Zgromadzenie zaczęło śpiewać pieśń weselną. *Radosny związek, pobłogosławiony w niebiesiech, związani na zawsze w Jego oczach.*

Prorok Goode przyciągnął Katie do siebie. Aż jęknęła z bólu, gdy jego palce zacisnęły się na jej ramieniu niczym szpony. „Jesteś teraz moja, związana ze mną z woli Boga — zdawał się mówić jego uścisk. — Będziesz mi posłuszna”.

Spojrzała na ojca i matkę. W milczeniu błagała ich, żeby ją stąd zabrali i zaprowadzili do domu, gdzie jej miejsce. Ale oni oboje promienieli skupieni na śpiewie. Omiatając wzrokiem oratorium, szukała kogoś, kto ją wyciągnie z tego koszmaru, lecz widziała jedynie morze aprobujących uśmiechów i kiwających głów. I salę, w której promienie słońca igrały na płatkach kwiatów, gdzie dwie setki gardeł rozbrzmiewały pieśnią.

Salę, gdzie nikt nie słyszał, nikt nie chciał usłyszeć milczącego krzyku trzynastoletniej dziewczynki.

Rozdział drugi

SZESNAŚCIE LAT PÓŹNIEJ

Ich związek dobiegał kresu, ale żadne z nich by się do tego nie przyznało. Woleli rozmawiać o zalanych deszczem ulicach i o tym, jak fatalne były rano korki, o prawdopodobieństwie opóźnienia lotu z lotniska Logana. Nie wspominali słowem o tym, co zaprzętało ich myśli, choć Maura Isles słyszała to w głosie Daniela Brophy'ego, jak również we własnym, obu brzmiących bezbarwnie i stłumionych. Oboje bardzo się wysilali, by podtrzymać fikcję, że nic się między nimi nie zmieniło. Nie, byli po prostu zmęczeni po nieprzespaniu połowy nocy, tkwili w bolesnej pułapce rozmowy będącej przewidywalnym zwieńczeniem uprawiania miłości. Rozmowy, po której Maura zawsze odczuwała niedosyt i napięcie.

„Gdybyś tylko mógł zostawać ze mną każdej nocy. Gdybyśmy mogli budzić się razem co rano”.

„Masz mnie tu i teraz, Mauro”.

„Ale nie całego. Nie, dopóki się nie zdecydujesz”.

Patrzyła przez okno na samochody przedzierające się przez ulewę. Daniel nie potrafił się zdecydować, pomyślała. A nawet

gdyby wybrał mnie, nawet gdyby porzucił stan kapłański, zostawił umiłowany Kościół, poczucie winy zawsze by nam towarzyszyło, wgapiąło się w nas niczym niewidzialna kochanka. Patrzyła, jak wycieraczki na szybach rozgarniają wodę. Surowe światło na dworze pasowało do jej nastroju.

— Będziesz prawie na styk — powiedział. — Odprawiaś się przez Internet?

— Wczoraj. Mam już kartę pokładową.

— W porządku. To ci zaoszczędzi kilka minut.

— Ale i tak będę musiała nadać walizkę. Zimowe ubrania nie zmieściły mi się do bagażu podręcznego.

— Dla każdego byłoby raczej oczywiste, że na konferencję lekarzy wybiorą jakieś ciepłe i słoneczne miejsce. Dlaczego Wyoming w listopadzie?

— Jackson Hole jest uważane za piękne miejsce.

— Bermudy też.

Odważyła się na niego spojrzeć. W poświęcie samochodowych reflektorów nie było widać zmarszczek na jego twarzy, niemniej dostrzegła coraz więcej siwizny w jego włosach. Jak bardzo się postarzeliliśmy w ciągu roku, pomyślała. Miłość postarzyła nas oboje.

— Kiedy wrócę, pojedźmy razem do jakiegoś ciepłego zakątka — powiedziała. — Tylko na weekend. — Roześmiała się ostentacyjnie. — A co tam, do cholery, zapomnijmy o świecie i wyjedźmy na cały miesiąc.

Milczał.

— A może proszę o zbyt wiele? — zapytała łagodnie.

Westchnął ciężko.

— Niezależnie od tego, jak bardzo byśmy chcieli, ten świat zawsze tu będzie. I będziemy musieli do niego wrócić.

— Niczego nie musimy.

Posłał jej dojmująco smutne spojrzenie.

— Sama w to nie wierzysz, Mauro. — Przeniósł wzrok na jezdnię. — Podobnie jak ja.

Nie, pomyślała. Oboje za wszelką cenę chcemy być cholernie odpowiedzialni. Codziennie chodzę do pracy, płacę na czas podatki i robię to, czego świat ode mnie oczekuje. Mogę sobie paplać o uciekaniu z nim, popełnianiu szaleństw, ale wiem, że nigdy się na to nie zdobędę. Daniel też nie.

Podjechał pod terminal odlotów. Przez chwilę siedzieli, nie patrząc na siebie. Ona skupiła wzrok na innych podróżnych kłębiących się przed wejściem, poowijanych w płaszcze przeciwdeszczowe, niczym żałobnicy zebrani w burzowy listopadowy ranek na pogrzebie. Nie miała najmniejszej ochoty wysiąść z ciepłego samochodu i dołączyć do przygnębiającego tłumu pasażerów. Zamiast iść do samolotu, mogłabym poprosić go, żeby zawiózł mnie z powrotem do domu, pomyślała. Gdybyśmy mieli jeszcze kilka godzin na przegadanie tego wszystkiego, może udałoby nam się znaleźć sposób, by między nami znowu dobrze się układało.

Kostki dłoni zastukały w przednią szybę. Podniosła wzrok i zobaczyła policjanta wpatrującego się w nich oboje.

— To miejsce tylko dla wysiadających — szczerknął. — Proszę odjechać.

Daniel opuścił szybę.

— Ta pani odlatuje. Właśnie wysiada.

— Tylko niech to nie trwa cały dzień.

— Wezmę twoje bagaże — powiedział Daniel i wysiadł z wozu.

Przez chwilę stali przy krawężniku, trzęsąc się z zimna,

milczący wśród kakofonii warkoczących autobusów i gwizdków policjantów kierujących ruchem. Gdyby był moim mężem, pomyślała, pocałowałibyśmy się teraz na pożegnanie. Ale od zbyt dawna skrupulatnie unikali jakiegokolwiek wyrażania emocji w miejscach publicznych i choć Daniel nie miał na sobie tego ranka koloratki, nawet uścisk wydawał się niebezpieczny.

— Nie muszę jechać na tę konferencję — odezwała się. — Moglibyśmy spędzić ten tydzień razem.

Westchnął.

— Nie mogę zniknąć, ot tak, na tydzień, Mauro.

— A kiedy będziesz mógł?

— Potrzebny mi czas, żeby wszystko zaaranżować. Wyjeżdżamy, obiecuję.

— I zawsze to musi być gdzieś indziej, prawda? Gdzieś, gdzie nikt nas nie zna. Raz chciałabym spędzić z tobą tydzień bez konieczności wyjeżdżania dokądkolwiek.

Daniel zerknął na policjanta, który szedł w ich kierunku.

— Porozmawiamy o tym w przyszłym tygodniu, kiedy wrócisz.

— Hej! Człowieku! — wrzasnął policjant. — Niech pan odjedzie, i to zaraz.

— Oczywiście, że porozmawiamy. — Roześmiała się. — Rozmawianie o tym bardzo dobrze nam idzie, prawda? Bo wygląda na to, że tylko do tego się ograniczamy. — Wzięła walizkę.

Sięgnął do jej ramienia.

— Mauro, proszę. Nie rozstawajmy się w taki sposób. Wiesz, że cię kocham. Potrzebuję tylko czasu, by jakoś to rozpracować.

Zobaczyła ból malujący się na jego twarzy. Wszystkie

miesiące oszukiwania, poczucia winy i niezdeterminowania zostawiły blizny, kładły się cieniem na każdy okrusz radości, jaki przy niej znajdował. Mogłaby pocieszyć go choćby uśmiechem, ścisnąć za ramię, żeby dodać mu otuchy, ale w tej chwili nie mogła zapomnieć o własnym cierpieniu. Myślała tylko o odwecie.

— Czas ucieka — powiedziała i weszła do terminalu. Gdy szklane drzwi zamknęły się za nią ze świstem, pożałowała swoich słów. Ale gdy zatrzymała się i spojrzała za siebie, Daniel już wsiadał do samochodu.



Nogi mężczyzny były rozsunięte na boki, odsłaniały rozerwane jądra i poparzoną skórę pośladków i krocza. Zdjęcia z kostnicy ukazywały się na ekranie bez żadnego ostrzeżenia ze strony prelegenta, mimo to nikt z siedzących w zaciemnionej sali konferencyjnej hotelu nawet nie jęknął z przerażenia. Słuchacze byli bowiem przyzwyczajeni do widoku okaleczonych, martwych ludzi. Dla tych, którzy widzieli trupy i dotykali zwęglonych ciał, którzy znali ich smród, pokaz przezroczysty w sterylnych warunkach nie mógł być straszny. Prawdę mówiąc, siwowłosa mężczyzna siedzący obok Maury zapadał kilkakrotnie w drzemkę. W panującym półmroku widziała, jak głowa opada mu i unosi się gwałtownie, gdy zmagął się z sennością, zupełnie niewrażliwy na grozę bijącą ze zdjęć jaśniejących na ekranie.

— Widzicie tu państwo typowe obrażenia po wybuchu bomby podłożonej w samochodzie. Ofiarą był czterdziesto-pięcioletni rosyjski biznesmen, który wsiadł pewnego ranka do mercedesa... bardzo ładnego mercedesa, pozwolę sobie zauwa-

żyć. Kiedy przekreślił kluczyk w stacyjce, uzbroił bombę pułapkę znajdującą się pod jego fotelem. Jak widać na zdjęciach rentgenowskich... — Prelegent kliknął myszką i na ekranie pokazał się kolejny obraz z PowerPointa. Było to zdjęcie miednicy rozłupanej w miejscu, gdzie znajduje się kość łonowa. Odłamki kości i metalu powbijały się w tkankę miękką. — Siła wybuchu wbiła mu części samochodu prosto w krocze, rozrywając mosznę i niszcząc guzy kulszowe. Ze smutkiem stwierdzam, że coraz częściej mamy do czynienia z obrażeniami po materiałach wybuchowych, jak w tym przypadku, zwłaszcza w naszej epoce ataków terrorystycznych. Bomba była niewielka, miała zabić tylko kierowcę. Jeśli zaś chodzi o terroryzm, trzeba mówić o znacznie potężniejszych ładunkach, których ofiary są znacznie liczniejsze.

Znow kliknął myszką i pokazało się zdjęcie wyciętych organów, lśniących niczym oferta sklepu mięsnego, ułożonych na zielonym płótnie chirurgicznym.

— Czasami nie ma wielu zewnętrznych oznak uszkodzeń, podczas gdy obrażenia wewnętrzne bywają śmiertelne. To efekt bomby zamachowca samobójcy zdetonowanej w jednej z kawiarni w Jerozolimie. Czternastoletnia dziewczyna uciepiała od zmasowanych wstrząsów, które uszkodziły jej płuca i spowodowały perforację wnętrzości. Mimo to jej twarz pozostała nietknięta. Niemal anielska.

Kolejne zdjęcie wywołało pierwszą słyszalną reakcję uczestników konferencji: szepty pełne smutku i niedowierzania. Dziewczyna wydawała się spokojnie odpoczywać, jej nieskazitelna twarz nie wyrażała najmniejszego zaniepokojenia czy troski, ciemne otwarte oczy patrzyły spod długich, gęstych rzęs. Jak się okazało, to nie krwawa jatka zaszokowała grupę

patologów, lecz piękno. W wieku czternastu lat, w chwili śmierci, myślała może o odrobieniu lekcji. Albo ładnej sukience. Albo o chłopcu, którego spostrzegła na ulicy. Nie wyobrażała sobie, że jej płuca, wątroba i śledziona znajdą się niedługo na stole autopsyjnym ani tego, że pewnego dnia dwustu patologów będzie wpatrywało się w jej zdjęcie.

Kiedy zapalono światło, na sali wciąż panowała cisza. Podczas gdy inni wychodzili, Maura została na miejscu i patrzyła na notatki, które zrobiła o bombach wypełnionych gwoździami ukrytych w paczkach, w samochodach i pod ziemią. Gdy chodzi o zadawanie cierpienia, ludzka pomysłowość nie zna granic. Jesteśmy tacy skuteczni w zabijaniu się nawzajem, pomyślała, a tak żałośnie nie radzimy sobie z miłością.

— Przepraszam. Czy przypadkiem pani to Maura Isles?

Podniosła wzrok i zobaczyła mężczyznę, który wstawał z krzesła dwa rzędy przed nią. Był mniej więcej w jej wieku, wysoki i wysportowany, mocno opalony, miał rozjaśnione słońcem blond włosy, na których widok pomyślała odruchowo: chłopak z Kalifornii. Jego twarz wydała się jej niejasno znajoma, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, gdzie go widziała, co ją zaskoczyło. Twarz taką jak jego każda kobieta z pewnością by zapamiętała.

— Wiedziałem! To ty, prawda? — Roześmiał się. — Gdy weszłaś do sali, tak pomyślałem.

Maura pokręciła głową.

— Przepraszam. To naprawdę krępujące, ale mam kłopot z umiejscowieniem cię.

— To dlatego, że widzieliśmy się bardzo dawno temu. I nie noszę już kitki. Doug Comley, zajęcia przygotowujące do studiów medycznych w Stanfordzie. To było, ile? Dwadzieścia

lat temu? Nie dziwię się, że o mnie zapomniałaś. Cholera, sam bym o sobie zapomniał.

Nagle stanął jej przed oczami młody mężczyzna o długich blond włosach i w okularach przeciwsłonecznych na nosie spalonym słońcem. Wtedy był znacznie szczuplejszy, chudzielec w niebieskich dżinsach.

— Mieliśmy razem laboratorium? — zapytała.

— Analiza ilościowa. Pierwszy rok.

— Pamiętasz, mimo że minęło dwadzieścia lat? Jestem zdumiona.

— Nie pamiętam ani jednego szczegółu z przeklętej analizy ilościowej. Ale ciebie pamiętam bardzo dobrze. Miałaś stanowisko w laboratorium dokładnie naprzeciwko mnie i zawsze dostawałaś najlepsze oceny w grupie. Skończyłaś na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Francisco?

— Tak, ale teraz mieszkam w Bostonie. A co się działo z tobą?

— Uniwersytet Kalifornijski w San Diego. Nie potrafiłem zmusić się do wyjazdu z Kalifornii. Jestem uzależniony od słońca i surfingu.

— Dla mnie brzmi to całkiem nieźle, szczególnie w tej chwili. Dopiero listopad, a ja już mam dość zimna.

— Mnie tam śnieg się podoba. Mnóstwo z nim uciechy.

— Mówisz tak dlatego, że nie musisz go znosić przez cztery miesiące w roku.

Sala konferencyjna opustoszała. Pracownicy hotelu składali krzesła i wywozili sprzęt nagłaśniający. Maura wsunęła notes do torby i wstała. Gdy szli z Dougiem równoległymi rzędami w kierunku wyjścia, zapytała go:

— Będziesz na koktajlu dziś wieczorem?

— Myślę, że będę. Ale obiad mamy jeść każdy we własnym zakresie, prawda?

— Tak napisali w programie.

Razem przeszli do lobby, w którym kłębił się tłum lekarzy z białymi identyfikatorami i takimi samymi torbami z konferencji. Czekali potem na windę i oboje bardzo się starali, by podtrzymać rozmowę.

— Więc przyjechałaś tu z mężem? — zapytał.

— Nie jestem zamężna.

— Czy w magazynie absolwentów nie informowali o twoim ślubie?

Popatrzyła na niego zaskoczona.

— Interesujesz się takimi sprawami?

— Ciekawi mnie, co się dzieje z kolegami z jednej grupy.

— Rozwiodłam się. Cztery lata temu.

— Och, współczuję.

Wzruszyła ramionami.

— Nie ma powodu.

Wjechali windą na trzecie piętro, gdzie oboje wysiedli.

— Do zobaczenia na koktajlu — rzuciła, machając mu na pożegnanie. Wyjęła kartę-klucz do pokoju.

— Idziesz z kimś na obiad? Bo tak się składa, że jestem akurat wolny. Gdybyś chciała do mnie dołączyć, znalazłbym jakąś dobrą restaurację. Wystarczy, że zadzwonisz.

Odwróciła się, żeby mu odpowiedzieć, ale on szedł już korytarzem z torbą konferencyjną na ramieniu. Kiedy za nim patrzyła, niespodziewanie przypomniała sobie innego Douglasa Comleya. Jego obraz w niebieskich dżinsach, idącego o kulach przez czworokątny dziedziniec kampusu.

— Czy nie złamałeś nogi w tamtym roku?! — zawołała za

nim. — Wydaje mi się, że to było tuż przed końcowymi egzaminami.

Odwrócił się do niej i zaczął śmiać.

— To właśnie o mnie zapamiętałaś?

— Teraz zaczynam sobie wszystko przypominać. Miałaś wypadek na nartach czy coś w tym rodzaju.

— Coś w tym rodzaju.

— Więc to nie był wypadek na nartach?

— O rany. — Pokręcił głową. — To stanowczo zbyt krępujące, żeby o tym mówić.

— O nie. Teraz musisz mi powiedzieć.

— Pod warunkiem że zjesz ze mną obiad.

Nie odezwała się, bo akurat przyjechała winda i wysiadło z niej dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna. Ruszyli korytarzem, obejmując się, najwyraźniej nie obawiając się afiszowania z tym, że są razem. Tak właśnie pary powinny się zachowywać, pomyślała, gdy tamtych dwoje zniknęło w pokoju i zamknęło za sobą drzwi.

Spojrzała na Douglasa.

— Chciałabym usłyszeć tę historię.